



Klasyka literatury

ALEKSADNER DUMAS

HRABIA MONTE CHRISTO

TOM II

POWIEŚĆ



Aleksadner Dumas

Hrabia Monte Christo
Tom II

Wersja demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2017

Aleksander Dumas
„Hrabia Monte Christo. Tom II”

Copyright © by Aleksander Dumas, 1929
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2017

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Łukasz Chmielewski
Projekt okładki: Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
Druk: Drukarnia Literacka
Wydawnictwo: Biblioteka Rodzinna
Warszawa, 1929

ISBN: 978-83-8119-011-4

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706
<http://www.psychoskok.pl/>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

ROZDZIAŁ V.

WYKAZY WIĘZIENNE.

W parę dni po wypadkach powyżej opisanych, człowiek mający około trzydziestu dwóch lat, ubrany we frak granatowy, w nankinowych pantalonach i w białej kamizelce, z postawy wyglądający na Anglika, zjawił się u mera Marsylji.

— Szanowny panie — rzekł do niego po francusku, lecz z silnym akcentem angielskim — jestem przedstawicielem domu Thomson i French w Rzymie; od lat dziesięciu pozostajemy w stosunkach handlowych z firmą Morrel i Syn, w Marsylji, i mamy tam w obecnej chwili około stu tysięcy franków, doszły nas jednak pogłoski o zachwianiu się domu tego, — mamy teraz obawy, co do możliwości odebrania tej sumy. Przybyłem więc z Rzymu dla zebrania informacji, jak się ta sprawa przedstawia?

— Cóż panu odpowiem na to zapytanie? — rzekł mer. — Od lat kilku losy prześladują pana Morrela; zatonoło mu pięć statków jeden po drugim, został ponadto uwikłany w bankructwa trzech domów bankowych. To wiem i tyle mogę panu powiedzieć. Czy jednak domowi temu grozi bankructwo? — nie wiem, nigdy osobistych poglądów na tę sprawę wygłaszać nie uważam za właściwe. Mnie samemu pan Morrel winien jest dziesięć tysięcy franków. Spytaj się mnie pan jako mera, co myślę o samym Morrelu, to ci odpowiem, że jest to człowiek wyjątkowej prawości i że dotąd zaspakajał wszystkie swe zobowiązania. Oto co mogę powiedzieć panu. Jeżeli pan pragniesz informacji bardziej rzeczywistych, to zechciej się udać do pana de Boville, inspektora więzień, ulica Noilles Nr. 15; ten ma, jeżeli się nie mylę, dwakroć sto tysięcy franków u pana Morrela, jeżeli więc istotnie domowi temu zagraża bankructwo, to pan de Boville, jako poważniejszy ode mnie wierzyciel, lepiej będzie cię mógł objaśnić.

Anglik, po wysłuchaniu tej uprzejmej i pełnej dyskrecji odpowiedzi, ukłonił się i wyszedł, a następnie powolnym krokiem, właściwym synom Wielkiej Brytanji, poszedł na wskazaną mu ulicę, wypytawszy się uprzednio, gdzie się ona znajduje?

Pan de Boville znajdował się w swym gabinecie. Od pierwszego rzutu oka Anglik poznał, że nie po raz pierwszy ma z nim do czynienia.

Anglik z właściwą sobie flegmą powtórzył w tych samych prawie wyrazach pytanie, jakie już zadał merowi.

— O! szanowny panie — odpowiedział pan de Boville zrozpaczonym tonem — obawy twe są bardzo ugruntowane. I ja mam u Morrela dwieście tysięcy franków, stanowiące posag mej córki. Otóż połowa tej sumy miała być wpłacona 15-go bieżącego miesiąca. Córka moja, dodać muszę, za dwa tygodnie ma wyjść za mąż. No i wyobraź pan sobie, że przed pół godziną był u mnie pan Morrel, z deklaracją że jeżeliby jego Faraon nie wrócił przed owym piętnastym, to nie będzie w stanie uiścić się na termin z długu.

— Ależ to zakrawa na zawieszenie wypłat i układy z wierzycielami?

— Powiedz raczej, szanowny panie, że to zakrawa na bangructwo!

Anglik jakby się zastanawiał przez moment, zaś potem rzekł:

— Więc ta wierzytelność tak pana niepokoi?

— Mój panie, te pieniądze uważam za stracone.

— Jeżeli tak, to ja tę sumę nabędę od pana. — Pan? ale zapewne z dużym ustępstwem?

— Nie. Sto za sto. Nasz dom — dodał anglik, śmiejąc się — nie uprawia podobnych operacyj.

— I pan-byś zapłacił?

— Gotówką!

Rzekłszy to, wyjął z kieszeni paczkę banknotów.

Radość błyskawicą zajaśniała na twarzy pana de Boville, powściągnął się jednak i rzekł:

— Sumienie moje nakazuje mi ostrzec pana, że możesz nie dostać nawet sześciu za sto.

— To już nie moja sprawa. Obchodzi to firmę, której jestem reprezentantem. Może domowi temu zależy na upadku firmy Morrela, jako konkurencyjnej? Może ją chce podtrzymać?... Tylko tyle powiedzieć mogę, że jestem gotów wypłacić panu tę sumę, jeżeli ustąpisz mi swe do niej prawa. Zastrzegam sobie jedynie komisowe.

— O, panie, nic słusniejszego. Zwykłe komisowe sięga 2 procent od stu. Tutaj zażądać pan możesz choćby dziesięciu.

— Panie — odpowiedział anglik, znów śmiejąc się głośno — ja naśladowuję moją firmę i nie szukam pobocznych dochodów. Komisowe, którego się domagam, jest zupełnie innej natury.

— Jakież jest więc ono? Słucham pana.

— Pan jesteś inspektorem więzień?

— Tak, od lat kilkunastu.

— Wykazy więzienne prowadzi pan zapewne?

— Oczywiście. Każdy wiezień ma swoje konto.

— Otóż powiedzieć panu muszę, iż byłem wychowany przez pewnego opata, który znikł nagle. Po latach dopiero dowiedziałem się, że był więźniem w twierdzy If i tam umarł.

Pragnąłbym dowiedzieć się o nim kilku szczegółów.

— Jak się nazywał?

— Opat Faria.

— O, przypominam sobie! był warjatem. Utrzymywał, że jest właścicielem olbrzymich skarbów i z uporczywością godną lepszej sprawy ofiarowywał rządowi coraz to większe sumy za uwolnienie go.

— Biedak! dawno umarł?

— Coś w lutym bieżącego roku. Datę doskonale pamiętam, ponieważ śmierć opata została związana z innym zdarzeniem istotnie zdumiewającym. Mianowicie cela opata oddalona była o kilka metrów od innego lochu, w którym był więziony niebezpieczny spiskowiec, który najbardziej przyczynił się do powrotu uzurpatora w 1815-ym roku, człowiek wyjątkowo zuchwały.

— Doprawdy? — rzekł Anglik.

— O, tak! Miałem sposobność widzieć tego człowieka w 1816-m czy 1817-m roku. Celę jego odwiedzać można było jedynie przy eskorcie wojskowej. Zbrodzień ten wyjątkowo sprawił na mnie wrażenie i jego rysów nie zapomnę nigdy.

Anglik uśmiechnął się zlekka.

— Powiada pan więc, że te dwa lochy oddzielone były znaczną przestrzenią?

— Tak. I ów spiskowiec, nazwiskiem Edmund Dantes, przy pomocy jakiegoś narzędzia przekopał sobie tunel podziemny, który te dwie cele połączył.

— Tunel był przekopany w celu ucieczki zapewne?

— Z pewnością. Na jego nieszczęście, opat Faria dostał silnego ataku katalepsji i zmarł. Wypadek ten Dantes zapragnął wykorzystać dla siebie w ten sposób, że zmarłego przeniósł do swej celi, a sam zajął jego miejsce w worku, w którym zmarły był zaszyty. Miał nadzieję, że go płytko zakopią i z grobu się wydostanie.

— Ryzykowny pomysł! Trzeba było mieć wyjątkową odwagę, by się nań zdecydować!

— O, już panu mówiłem, był to człowiek niebezpieczny. Na szczęście, sam wybawił państwo od siebie.

— Jakim sposobem?

— Zamek If nie ma cmentarza, zmarłych przeto wrzucają do morza, przywiązawszy im uprzednio trzydziesto-sześć funtową kulę u nóg. No i biedak poszedł na dno! Chciałbym widzieć go w chwili, gdy opadał do wody, zaszyty w worek, jak baran.

I pan de Boville roześmiał się głośno, jego humor poprawił się znacznie nadzieją otrzymania dwóch kroć stu tysięcy franków, jakie uważał już za stracone.

— I ja także chciałbym zobaczyć jego minę — zawołał Anglik.

I zaczął się śmiać, po angielsku, to znaczy, przez zęby.

— Tak więc — zaczął mówić dalej — gubernator zamku uwolnił się od razu od dwóch więźniów nader kłopotliwych; od szaleńca i od warjata!

— Musiano jednak sporządzić akty tych wypadków?

— A tak, akty zejścia.

— Otóż chciałbym prosić szanownego pana o danie mi możliwości przejrzenia wszystkich aktów, więźniów tych dotyczących. Wszystko co dotyczy opata, interesuje mnie bardzo.

— A więc zechciej pan przejść do mej kancelarii, tam wszystko ci pokażę.

Rzeczywiście, wszystkie dokumenty dotyczące więźniów, znajdowały się tam w największym porządku. Każdy wykaz oznaczony był numerem.

Inspektor posadził Anglika na fotelu, położył odnośne foljały przed nim na biurku, siadając zdala na kanapie, wzięwszy do ręki numer dziennika.

Anglik znalazł łatwo papiery opata Farji, wertował je długo. Następnie wziął do ręki plikę papierów, w których znajdowały się dokumenty Dantesa.

I znalazł ułożone w porządku: denuncjację, decyzję, prośbę

p. Morrela, na koniec dopisek p. de Boville.

Odłożył ukradkiem denuncjację którą następnie ukrył w kieszeni, potem wziął się do czytania decyzji i spostrzegł, że nazwisko Noirtiera nie było w niej wspomniane. Dalej przebiegł oczami prośbę napisaną w dn. 10 kwietnia 1815 r. w dobrej wierze przez p. Morrela, w której podkreśla on z naciskiem doniosłość zasług Dantesa, jakie ten położył w sprawie Cesarza. Napoleon panował przecież wtedy. Lecz prośba ta, starannie przez Villeforta zachowana, stała się silnym orężem właśnie w ręku podprokuratora; prośba ta właśnie Dantesa zgubiła

ostatecznie.

Nie dziw więc, że pan de Boville nic dla Dantesa w swoim czasie uczynić nie mógł i że dopisał: „wobec danych tych, nic niema do zrobienia. Sprawa jest przesądzona ostatecznie”.

— Dziękuję panu — rzekł angiłk składając foljały — przejrzałem już wszystko. Teraz czas, abyśmy przeszli do ostatecznego załatwienia spraw pieniężnych. Proszę o kwity z podpisem p. Morrela, a ja należność za nie zapłacę natychmiast.

Formalności w parę minut zostały ukończone i obydwie strony rozstały się bardzo z siebie zadowolone.

ROZDZIAŁ VI.

DOM MORRELA.

Kto znał przed laty dom Morrela i zobaczyłby go w chwili ostatnio przez nas opisywanych wypadków — znalazłby w nim wielkie zmiany.

Tam, gdzie niegdyś bujne życie i dostatek widniały na każdym kroku, gdzie panował ożywiony ruch i gorączkowa praca, gdzie liczne rzesze urzędników przebiegały w różnych kierunkach pokoje, sienie i korytarze, gdzie całe przedsionki i podwórza były zavalone stosami pak i towarów — dziś panował smutek i cisza.

Z mnóstwa oficjalistów, którzy dawniej przepełniali biura, zostało dwóch zaledwie; młodzieniec lat około dwudziestu czterech, noszący nazwisko Emanuela Reimonda — zakochany w córce Morrela — pozostał w jego domu wbrew woli swej rodziny i stary Kokles, zwany jednookim, który pełnił obowiązki kasjera, urzędnik doskonały, wierzył jedynie w tabliczkę Pitagoresa, a w rachunkach nie mylił się nigdy. On jeden z całego domu zachował dawny dobry humor.

Nie należy jednak przypuszczać, że ten pogodny stan jego ducha wpływał z oschłości serca.

Jak owe szczury, które opuszczają okręt skazany na zagładę, tak cała zgraja pracowników firmy Morrel rozpierzchła się na wszystkie strony, przy pierwszych niepowodzeniach tego domu.

Gdy Kokles zauważył ten popłoch, nie pomyślał nawet, dlaczego to czynią, nie

pojmwował ich nawet. Od lat przecież dom Morrel i Syn płacił najrzetelniej rachunki; robi to i dziś. Z jakiej to racji zmieniłoby się miało? Kokles nie wierzył wprost, by ta siła rozpędu mogła osłabnąć kiedykolwiek.

Żaden fakt nie zachwiał jeszcze tem przekonaniem Koklesa.

I ostatnie dni miesiąca, zawsze najtrudniejsze, przeszły jak zwykle.

Ale już w pierwszych dniach następnego miesiąca, pan Morrel miał ciężkie chwile do przetrwania. Ażeby podołać wypłatom zgromadził wszystkie swe środki, sprzedał klejnoty, oraz część familijnego srebra.

Dzięki tym ofiarom, kasa mogła podołać zadaniom, lecz była zdawało się bezdena. Pochłaniała wszystko.

Sytuację uratować mógł jeszcze szczęśliwy powrót Faraona z Indji. Lecz inny statek, który wyruszył z Kalkuty prawie razem z Faraonem, zawinął już do portu w Marsylji, a o Faraonie nie było żadnej wieści.

Taki był stan rzeczy, gdy pewnego dnia przedstawiciel domu Thomson i French w Rzymie, zjawił się u p. Morrela.

Przyjął go Emanuel, który to zrobił z przyczyny, iż chciał uchronić swego szefa od prawdopodobnej nieprzyjemności. Do domu Morrel i syn od pewnego czasu przychodzili jedynie tacy klienci, którzy upominali się o pieniądze. Zapytał więc przybyłego, czego sobie życzy? — lecz ten odpowiedział, że cel przybycia wyjawić może samemu tylko p. Morrelowi.

Emanuel z westchnieniem poprosił Koklesa, by ten zaprowadził przybyłego na górę do szefa.

Kokles poszedł pierwszy, wskazując drogę.

Na schodach spotkał młodą dziewczynę, lat około siedemnastu, która z przestraszeniem spojrzała na nieznanego.

Wyraz ten nie uszedł uwagi przybysza.

— Czy pan Morrel jest w swym gabinecie, panno Juljo? — zapytał Kokles.

— Zdaje mi się, że jest — odpowiedziała z pewnem wahaniem młoda dziewczyna — dowiedz się naprzód, Koklesie, i uprzedź ojca.

— Sądzę, że niema potrzeby — wtrącił się do rozmowy anglik — ponieważ pan Morrel nie zna mego nazwiska. Wystarczy, gdy się dowie, że jestem przedstawicielem domu Thomson i French w Rzymie, z którą to firmą dom ojca pani pozostaje w stosunkach.

Młoda dziewczyna zbladła silnie i nic już nie odpowiadając zaczęła schodzić na

dół, gdy pozostali udali się na górę.

Kokles otworzył drzwi, wprowadził gościa do przedpokoju, potem wszedł do pokoju p. Morrela i wrócił po chwili, dając przybyłemu znak, że może wejść.

Gdy nieznajomy ukazał się, p. Morrel chował właśnie do biurka książkę rachunkową, następnie uklonił się przybyłemu i poprosił go, żeby usiadł.

Czternaście lat zmieniło bardzo zacnego przemysłowca. Włosy mu zbiały, czoło porały troski i zmartwienia, zmętniały oczy.

Anglik wpatrywał się w niego wzrokiem przenikliwym.

— Panie — rzekł Morrel, nie mogąc znieść dłużej tego spojrzenia — chciałeś mówić ze mną?

— Tak jest, przychodzę w sprawie domu Thomson i French w Rzymie. Otóż firma ta ma w najbliższych czasach duże sumy do opłacenia we Francji. Znając solidność firmy pańskiej, dom nasz zebrał pewną ilość weksli z podpisem pańskim i polecił mi, abym podniósł wierzytelności te w miarę upływających terminów i tym sposobem zaspakajał wierzycieli.

Morrel otarł ręką czoło zroszone potem i westchnął głęboko.

— Jesteś więc pan — rzekł — w posiadaniu weksli z moim podpisem? I na jaką sumę?

— Oto naprzód — odpowiedział Anglik, wyjmując portfel z kieszeni — przekaz na dwakroć sto tysięcy franków, wystawiony na imię p. de Boville.

— Przyznaję ten dług. Połowa sumy tej ma być zapłacona 15-go b. m., zaś reszta za miesiąc — rzekł Morrel i rumieniec wstydu oblał mu twarz na myśl, że po raz pierwszy w życiu nie będzie mógł zadość uczynić zobowiązaniu, które podpisał. — Czy to już wszystko? — dodał następnie.

— O, nie. Posiadam nadto weksle płatne w tym miesiącu, a wystawione na zlecenie domu Pascale Wild i Turner, w Marsylji, a opiewające na sumę pięćdziesięciu tysięcy franków, oraz trzydziestu siedmiu tysięcy franków, ogółem 287,500 franków.

Niepodobna opisać, co wycierpiał nieszczęśliwy Morrel podczas tych obliczeń.

— Dwa kroć osiemdziesiąt siedem tysięcy franków — powtórzył machinalnie.

— Tak jest. Otóż nie będę przed panem ukrywał, że opinja publiczna w Marsylji, oddając zupełną sprawiedliwość nieposzlakowanej rzetelności domu pańskiego, utrzymuje, że nie jesteś już w stanie zaspokoić swych zobowiązań...

Na to oświadczenie, tak bardzo niedelikatne, Morrel zbladł jak ściana

— Panie szanowny, wiedz, że od lat dwudziestu czterech,

t. j. od chwili, gdy dom ten prowadzę, ani jeden weksel z podpisem Morrel i Syn nie wrócił z kasy niezapłacony. To samo było z wekslami mego ojca, który prowadził firmę tę przez lat trzydzieści dziewięć.

— Wiem o tem. Mówmy jednak szczerze i otwarcie. Czy i dziś zapłacisz pan weksle te ze zwykłą akuratnością?

Morrel wzdrygnął się i spojrzał w oczy anglikowi, który z taką bezwzględnością mówił do niego.

— Zapytanie to, tak szczerze, niemniej szczerzej domaga się odpowiedzi. Otóż weksle te zapłacę, jeżeli — jak się tego spodziewam — statek mój wróci do portu. Powrót ten bowiem podniesie mój kredyt, zachwiany nieszczęsnymi wypadkami, których byłem ofiarą! Gdyby jednak wypadkiem, mój Faraon, będący ostatnią moją nadzieją, przepadł...

Tu łzy zalały oczy mówiącemu.

— Jeżeliby więc Faraon zginął?... — podjął anglik pytająco.

— Wówczas... tak!... Byłbym zmuszony zawiesić wypłaty.

— Czyż nie masz pan przyjaciół, którzyby podali panu rękę?

Morrel uśmiechnął się gorzko.

— W interesach, drogi panie, niema przyjaciół. Sam wiesz o tem dobrze. Ostatnią moją nadzieją jest Faraon. Nikt i nic więcej.

— Więc jeżeli ta nadzieja zawiedzie?...

— Będę zgubiony.

— Gdym szedł do biura, jakiś okręt wpływał do portu.

— Wiem o tem. Młodzieniec pewien, który pozostał mi wierny, większą część czasu spędza w wieży, znajdującej się na szczycie naszego domu, by obserwować przybywanie statków. Od niego to już miałem wiadomość o ukazaniu się jakiegoś statku. Lecz nie jest to mój okręt. Jest to Gironda. Wraca również z Indji, lecz nie należy do mnie.

— Może jej załoga udzielić będzie mogła wieści o Faraonie?

— Mam panu wyznać prawdę? Ja się już lękam przybycia wieści. Niepewność jest jeszcze nadzieją...

I zamilkł. Po chwili milczenia znów zaczął głucho...

— Opóźnienie przybycia Faraona nie daje się niczem wytłumaczyć. Statek mój

wyłynął z Kalkuty dnia 5-go lutego, od miesiąca przeto powinienby być w porcie.

— Co to jest? — zawołał nagle anglik, przysłuchując się — co znaczy ten hałas?

— O Boże! Boże mój! — wyszeptał Morrel blednąc — cóż tam znowu stać się mogło?

W samej rzeczy odgłosy silnego zamieszania dawały się słyszeć z dołu.

Przebiegano sale w różnych kierunkach i dawały się słyszeć okrzyki bóleści.

Morrel wstał, chciał podejść do drzwi, lecz sił mu zabrakło i upadł z powrotem na krzesło.

Po chwili trwożnego oczekiwania drzwi otwarły się nakoniec i w ich ramie ukazała się młoda dziewczyna z twarzą zalaną łzami.

— O mój ojcie! — zawołała, załamując dłonie — przebacz twemu dziecku, że ci musi nieszczęście zwiastować.

I Julja rzuciła się w objęcia śmiertelnie bladego ojca.

— O mój ojcie!... mój ojcie!... bądź odważny.

— Faraon zginął? — zapytał Morrel przytłumionym głosem. Młoda dziewczyna nie odpowiedziała, skinęła tylko głową, którą trzymała na piersiach ojca.

— A osada?

— Uratowana. Zabrał ją na swój pokład okręt, który przybył przed chwilą.

— Dzięki ci, Boże, choć za to!... rzekł Morrel — cios twój mnie jednego przeto dotyka.

Mimo flegmy, w oczach anglika zabłyśły łzy.

W otwartych drzwiach ukazała się pani Morrel łkająca, podtrzymywana przez Emanuela. Poza nimi widniały sylwety kilku w pół nagich marynarzy.

Na widok tych ludzi anglik nagle zadrżał. Chciał ich powitać, lecz wstrzymał się, cofnął i stanął w najdalszym i najciemniejszym kącie gabinetu.

Pani Morrel usiadła w kącie gabinetu i wzięła w uścisk dłoń męża. Julja wciąż stała we łzach, z głową ukrytą na piersi ojca.

— Zbliź się, Penelonie — rzekł Emanuel, do najstarszego — i opowiedz nam szczegóły wypadku.

Stary majtek o brązowej, spalonej słońcem i wiatrami twarzy, wysunął się naprzód, mnąc w ręku kapelusz.

— Dzień dobry panu, panie Morrel — rzekł, jak gdyby wczoraj zaledwie rozstał się ze swym chlebodawcą.

— Dzień dobry ci, przyjacielu, lecz powiedz mi przedewszystkiem, — dlaczego nie widzę z wami kapitana?

— Kapitan, panie Morrel, zasłabł lekko i musieliśmy go zostawić w Palermo. Bóg jednak sprawi, że mu nic nie będzie i za parę dni ujrzycie go tak zdrowego, jak nas i siebie.

— Chwała niech będzie za to Bogu! A teraz opowiadaj, Penelonie.

Wezwany zasłonił naprzód ręką usta, potem odwrócił się i splunął do przedpokoju, następnie wystawił lewą nogę i, kołysząc się na niej, zaczął opowiadać...

— Otóż, panie Morrel, byliśmy tak, jakby między przylądkiem Białym, a przylądkiem Bajador, pędząc tęgim wiatrem południowo-zachodnim, po ośmiu dniach takiej ciszy, jakby w tym oto pokoju. Stałem właśnie u steru, gdy podszedł do mnie kapitan i rzekł:

— Ojczy, co myślicie o tych obłokach, które są tam na niebie?

A ja już się tym obłokom przypatrywałem.

— Co myślę, kapitanie?... Nie wiem, doprawdy, kto im dał prawo pędzić tak szybko. Stają się przytem coraz czarniejsze.

Oj! — nie są to obłoki niewinne.

— I ja tak myślę — odpowiedział mi kapitan — i trzeba się przygotować na ich przyjęcie. Trochę za dużo mamy żagli na ten wiatr, który rychło w nas uderzy. Hola!... tam! — krzyknął — zwinąć górny żagiel i zsunąć w dół trójkątny.

Ledwo rozkaz ten został wykonany, już wiatr w nas uderzył z taką siłą, że aż cały okręt się pochylił.

— Źle — rzekł kapitan — jeszcze mamy za dużo płótna.

Hej! tam!... spuścić wielki żagiel!

W pięć minut później, szliśmy tylko o żaglu przodowym, gniazdowych i posiłkowych.

— Cóż to, ojczy Penelonie, nie jesteście jeszcze kontent? — rzekł do mnie kapitan, gdy zobaczył, że potrząsam głową.

— A bo na waszem miejscu, widzicie, skończyłbym to, co tak dobrze zostało zaczęte — rzekłem.

— To stare wilczyśko morskie ma słuszność — zawołał wtedy kapitan — potężny może uderzyć w nas wicher.

— Zebrać na dwa fałdy żagle gniazdowe — rozkazywać

zaczął — popuścić postronki żaglowe. Drągi do watru! Na dół żagle posiłkowe! Ramy na reje.

— Niedość było tego wszystkiego na tamtejszych wodach — rzekł nagle Anglik — ja byłbym zebrał wszystkie żagle na cztery fałdy i pozbył się przodowego.

Na głos ten dźwięczny, silny i stanowczy, a niespodziewany, — drgnęli wszyscy obecni.

Penelon przysłonił oczy dłonią i spojrzał bacznie na tego, który miał śmiałość krytykować rozkazy ich kapitana.

— Zrobiliśmy coś jeszcze lepszego, panie szanowny — rzekł stary żeglarz z przekąsem, lecz i wyrazem podziwu dla wiedzy żeglarskiej nieznanego — zwinęliśmy żagiel sterowy i rudłem nawróciliśmy do wiatru, aby biec wprost przed burzą. W dziesięć minut potem, pozbawiliśmy się i gniazdowych, tak, iż nic już nie mieliśmy płótna na masztach.

Anglik wstrząsnął głową i rzekł:

— Okręt był stary, zbyt ryzykowne więc było podobne rozwiązanie zagadnienia.

— Prawdę pan powiedział. To nas właśnie zgubiło. Dwanaście godzin burza rzucała nami, jak piłką, aż na koniec pootwierały się szpary.

— Penelonie — rzekł do mnie kapitan — czy my czasem nie idziemy na dno?... mój stary! Oddaj no mi ster; a sam idź na spód okrętu.

Schodzę ja na dół, a tam już trzy stopy wody ma okręt w brzuchu. Powracam więc z okrzykiem: do pomp! do pomp! Było już jednak za późno. Pracowaliśmy — nie żałując rąk: wody jednak coraz bardziej mimo to przybywało.

— Dalibóg — rzekłem do kapitana, po czterogodzinnej pracy bez wytchnienia — jeżeli mamy tonąć, to już idźmy na dno bez tego wszystkiego, bo to już się na nic nie przyda. Raz kozie śmierć, zresztą.

— I to ty, ty, Penelonie, ośmielasz się mówić mi takie rzeczy? Poczekajże!

Popędził wichrem, jak obłąkany, do swej kajuty, a wróciwszy z pistoletami w dłoniach, zawołał:

— Łeb roztrzaskam pierwszemu, który rękę od pompy odejmie!

— Brawo! — zawołał Anglik.

— Nic tak nie napędza odwagi i do posłuszeństwa nie zachęca, jak argumenty podobnego rodzaju — mówił dalej żeglarz — pompowaliśmy więc dalej dopóty, aż niebo się przetarło i wiatr opadł zupełnie. Wody jednak przybywało nam ciągle; niewiele niby: pięć centymetrów na godzinę, ale po kilkunastu godzinach daje to

taki ogrom, że go żaden statek strawić nie jest zdolny.

— No, dosyć — rzekł wtedy kapitan — już nam teraz pan Morrel nie będzie miał nic do zarzucenia. Uczyniliśmy wszystko, co było w naszej mocy, ażeby okręt uratować. Teraz starać się mi wolno już o to jedynie, by uratować ludzi. Do szalup! Spieszcie się, dzieci, bo wierzajcie, że czas najwyższy.

— Gdyśmy to usłyszeli, ogarnął nas żal ogromny. Cóż poradzić na to? — kochaliśmy Faraona! Ale cóż? — trzeba było go porzucić, bo tu chodziło o naszą skórę. A okręt już jęczał, już się zataczał, jak pijany.

W jednym więc mgnieniu oka spuściliśmy szalupę na morze i ośmiu nas rzuciło się do niej. Kapitan zeszedł ostatni. Źle mówię! Nie chciał on zupełnie opuścić okrętu, lecz porwałem go za rękę i siłą rzuciłem towarzyszom w ramiona; dopiero wtedy wskoczyłem sam do łodzi.

Ledwo zdołaliśmy odbić od statku, gdy pomost z hukiem rozpękł się na dwoje, potem tyłem zapadł się w morze, podniósł się, dziób znów zanurzył, wreszcie zakręcił się jak pies za swym ogonem i poszedł na dno.

Skończyło się! Nie było Faraona!

Przez trzy dni tułaliśmy się po morzach, bez chleba i bez kropli wody, bo nie było już czasu zabrać tego z okrętu, aż wreszcie dojrzeliliśmy maszty Girondy. Zaczęliśmy dawać znaki, które dostrzeżono i tak zostaliśmy uratowani.

Oto i cała przygoda. Cała prawda, daję wam na to słowo honoru uczciwego marynarza. Wierzycie nam, czy nie?

Powszechny szmer uznania dowodził, że słowa starego żeglarza znalazły wiary pełną.

— Zacni z was ludzie — powiedział pan Morrel — i wiedziałem zgóry, iż nieszczęście, jakie mnie dotknęło, stało się dzięki złemu losowi jedynie! Jest to wola Boga, a nie zły czyn ludzi. Tej woli musimy się wszyscy poddać z pokorą. A teraz powiedzcie mi, ile wam pozostałem dłużny?

— E! — nie mówmy o tem, panie Morrel.

— Owszem, o tem pomówić musimy, — odrzekł pan Morrel ze smętnym uśmiechem.

— Należy nam się za trzy miesiące.

— Koklesie, wypłać po dwieście franków każdemu z tych poczciwych ludzi. W innych czasach, moi przyjaciele, podwoiłbym tę kwotę. Niestety, jednak, to, co mi pozostało, nie należy już do mnie. Wybaczcie mi więc i kochajcie mnie zawsze.

Penelon zmarszczył się, by nie dać się opanować wzruszeniu, a następnie zwrócił się do swych towarzyszy, po krótkiej rozmowie z którymi, zwrócił się ponownie do swego chlebodawcy.

— Co do tego, panie Morrel, — rzekł, przenosząc prymkę z jednej strony ust do drugiej i plując znowu do przedpokoju — co do tego...

— Cóż więc?...

— Towarzysze moi są zdania, że narazie dosyć będą mieli po pięćdziesiąt franków i że na resztę poczekają.

— Dzięki wam, przyjaciele, — zawołał pan Morrel wzruszony do głębi serca — nie mogę przyjąć jednak ofiary waszej. Bierzcie więc, co wam się słuszenie należy, a jeśli znajdziecie dobrą służbę, to ją możecie przyjąć. Jesteście wolni.

Ostatnie wyrazy dziwne wywarły wrażenie na majtkach. Spojrzeli po sobie pomieszani. Penelonowi tchu nawet zabrakło i nieomal nie połknął tytoniu, który żuł bezustannie.

— Jakto, panie Morrel, jak mamy rozumieć słowa pańskie? — zapytał głuchym głosem — odprawiasz nas? A więc jesteś z nas niekontent?

— Uchowaj Boże! — odparł były właściciel Faraona — wprost przeciwnie, moje dzieci, byłem i jestem bardzo z was zadowolony. Ale, moi drodzy, ponieważ nie mam już statku, nie potrzebuję przeto już i załogi.

— Więc cóż z tego, że nie masz statku? — zapytał Penelon — każesz zbudować sobie inny, a my chętnie poczekamy.

— Tylko że ja nie mam za co budować innego statku, nie mogę więc, sami widzicie, przyjąć waszej ofiary.

— Ale... jeżeli pan nie ma pieniędzy, to z jakiej dobrej racji pan nam jeszcze płaci?

— Dosyć już, moje drogie dzieci, nie wzruszajcie mnie waszą dobrocią. Da Bóg lepsze czasy, to się zejdziemy może i dalej znów razem pracować będziemy.

— A więc w takim razie tylko do widzenia panu, drogi, kochany panie Morrel.

— Do widzenia!... taką mam przynajmniej w Bogu nadzieję. Bądźcie zdrowi.

I pan Morrel dał znak Koklesowi, przypominający mu nakaz wypłaty, a gdy ten wyszedł — majtkowie poszli za nim, odprowadzani jeszcze przez Emanuela.

— Zostawcie mnie teraz, moje drogie, z tym panem. Muszę z nim na osobności pomówić — rzekł Morrel, zwracając się do żony i córki.

I wskazał oczami na przedstawiciela domu Thomson i French, który stał w kącie

pokoju nieruchomy, w czasie całej powyżej opisanej sceny.

Kobiety podniosły w milczeniu oczy na cudzoziemca, westchnęły cicho i odeszły.

Gdy były jednak we drzwiach, córka Morrela spojrzała nań błagalnym wzrokiem, na co cudzoziemiec odpowiedział przyjaznym, pełnym szacunku, spojrzeniem.

Nieznajomy i Morrel zostali sami.

— No, szanowny panie, widziałeś i słyszałeś wszystko — rzekł Morrel, rzucając się na krzesło — nie potrzebuję teraz ani jednego słowa więcej dodawać.

— Przekonałem się, że dotknęło pana nowe nieszczęście, również niezasłużone, jak poprzednie i to mnie utwierdza w chęci wyświadczenia panu pewnej przysługi.

— O, panie!... zawołał Morrel.

— Jestem największym pańskim wierzycielem, czy tak?

— Tak jest, najpoważniejszym.

— A co-by pan powiedział, gdybym tak zgodził się na przedłużenie terminu?

— Powiedziałbym, że zwłoka mogłaby ocalić mi honor, a tem samem i życie.

— Jak długiej żądałby pan zwłoki?

Morrel zastanowił się.

— Dwa miesiące, myślę, wystarczyłoby mi na uregulowanie mych interesów.

— Daję panu trzy miesiące.

— Czy jednak jesteś pan pewien, że dom Thomson i French...

— Proszę być najzupełniej spokojnym o to, że firma, której jestem reprezentantem, zatwierdzi wszystkie moje postanowienia. Mamy dziś 5-go czerwca, prawda?

— Tak jest.

— Przepisz pan więc wszystkie te weksle i oznacz datę płatności na dzień 5-go września, o godzinie jedenastej rano (tę godzinę wskazywała wskazówka zegara). W tym dniu i godzinie zgłoszę się do pana.

— Zapewniam pana, iż w dniu tym oczekiwać go będę. Otrzymasz pan wtedy swój kapitał, lub żyć nie będę.

Ostatnie wyrazy wymówił szeptem, tak, że anglik prawdopodobnie ich nie słyszał.

Morrel następnie przepisał weksle; dawne zniszczono.

Tym sposobem nieszczęśliwy bankrut miał trzy miesiące przed sobą na

zgrupowanie funduszu.

Anglik z zimną krwią, jego rasie właściwą, wysłuchał dziękczynień i oddalił się. Morrel odprowadził go do drzwi, błogosławiąc i dziękując.

Na schodach spotkał nieznaną Julję; zająca córka, pełna lęku i trwogi, udawała, że schodzi ze schodów, gdy w rzeczy samej oczekiwała na gościa.

— I cóż, pani?... rzekła, składając ręce.

— Pani — rzekł cudzoziemiec — odbierzesz tutaj po jakimś czasie list z podpisem... Sindbada Marynarza. Otóż wypełnij wiernie wszystko, co tam będzie wskazane, jakkolwiek dziwnymi może wydawać ci się mogą te zlecenia.

— Dobrze, pani.

— Przysięgasz mi, pani, że wypełnisz wszystko?

— Przysięgam.

— Dobrze, żegnam panią. Bądź zawsze tak dobrą i czystą, a być może, że ci to Bóg nagrodzi kiedyś, gdy już Emanuel będzie twym małżonkiem.

Julja spłoniona oparła się o poręcz, ażeby nie upaść.

Cudzoziemiec odszedł wtedy, żegnając ją pełnym szacunku ukłonem.

Na podwórku spotkał Penelona, który trzymał w rękach dwa rulony srebrnych pięcio-frankówek, jakby się namyślając, czy je ma zatrzymać, czy też oddać z powrotem?

— Chodź ze mną — rzekł anglik — mam z tobą do pomówienia.

ROZDZIAŁ VII.

PIĄTEGO WRZEŚNIA.

Zwłoka, na którą się zgodził przedstawiciel domu handlowego Thomson i French w chwili, kiedy Morrel najmniej się jakichkolwiek względów od ludzi spodziewał, wydawała się zagnemu przemysłowcowi zapowiedzią powrotu pomyślności, zapowiedzią, że los zawzięty przestanie go może prześladować.

Na nieszczęście, Morrel miał do czynienia nie z jednym tylko domem Thomson i French, co tak szlachetnie sobie postąpił.

Zastanowiwszy się nad tym wypadkiem głębiej, wytłumaczył sobie, że dom ten

rządził się tutaj pobudkami egoistycznej również natury. Lepiej bowiem z pewnością jest utrzymać byt człowieka, który nam jest winien trzykroć sto tysięcy franków i mieć je po upływie trzech miesięcy choćby, niż przyśpieszyć jego ruinę i dostać pięć lub sześć procent kapitału.

Inne domy wszelako, które miały z domem Morrela stosunki, czy to przez zawiść, czy też przez głupotę rozumowały wprost przeciwnie. Weksle więc z podpisem Morrela napływały wciąż do jego domu bez najmniejszego opóźnienia terminów. Dzięki prolongacie, której anglik udzielił, były one wykupywane natychmiast.

Zdziwienie było niemałe, gdy pod koniec miesiąca kasa zaspokoiła wszystkich, którzy się zgłosili z pretensjami.

Ufność jednak nie wróciła do zaniepokojonych umysłów.

Przedstawiciel domu Thomson i French nie pokazywał się.

O ile się zdaje, wyjechał z Marsylji zupełnie.

Wraz z nim znikł również i Penelon, który przyjął jakiś obowiązek u anglika, jak krążyły pogłoski.

Kapitan Gaumard, gdy tylko wrócił do zdrowia, przybył z Palermo do Marsylji. Początkowo nie chciał pokazać się na oczy panu Morrelowi, lecz ten, gdy tylko dowiedział się o jego powrocie, sam pierwszy go odwiedził, odnosząc mu zaległą pensję, o którą kapitan nie śmiał się upominać.

Gdy Morrel po tej wizycie schodził ze schodów, spotkał Penelona wchodzącego na górę.

Stary majtek dobrze najwidoczniej użył swych pieniędzy, bo był od stóp do głowy świeżo ubrany.

Spostrzegłszy swego byłego chlebodawcę, majtek stropił się bardzo i spuścił oczy, a gdy p. Morrel wyciągnął do niego rękę, zaledwie końcami palców dotknął jego dłoni.

Morrel dostatniemu ubiorowi przypisywał zakłopotanie starego majtka. Boć przecie nie mógłby on zdobyć się na kupno stroju tego z sumy, jaką od niego trzymał? Najwidoczniej przyjął więc już u kogoś innego służbę, a teraz ogarnął go wstyd, iż tak szybko zrzucił żałobę po Faraonie.

Koniec wersji demonstracyjnej.

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

